

Dziennikarz starszego pokolenia?

Najwięcej ciepłych listów do mnie, wspaniałych i dziękuję za nie z całego serca, otrzymuję od starszego pokolenia Polaków, którzy jako bardzo młodzi, ale już dojrzały wtedy ludzie pamiętają II RP, wojnę, a potem PRL. Mam wrażenie, że w felietonach udaje mi się wczuć w mentalność tego pokolenia, choć biologicznie do niego nie należę. Kiedy się urodziłem, mój ojciec (rocznik 1909) miał już 44 lata. Co ciekawe, zauważyłem, że mój związek z pokoleniem II RP, staje się z biegiem lat coraz bardziej silniejszy. Nie zapomnę śmiejącej się matki, pewnie z odrobiną zażenowania, kiedy jako chłopiec pożerałem pierwszą prawdziwą pomarańczę z Yaffy, a nie zieloną, twardą i obrzydliwą z Kuby, „przyjaciela” naszego PRL-u. Oboje rodzice doskonale zapamiętali II RP, gdyż byli wtedy młodzi i szczęśliwi, stąd też ta dobra pamięć o sklepach pełnych egzotycznych towarów, nawet w małych miasteczkach pogranicza lubawskiego, skąd pochodzili, choć oczywiście nie było ich stać na wielkie zakupy. Ludzie żyli skromnie, tak jak ich było na to stać, ale żyli w wolnym, wielkim kraju, tego na pewno byli pewni.

Lata w PRL-u położyły się cieniem na przedwojennym pokoleniu i jego progeniturze. Wszystko było inne, obce, ale trzeba było żyć. Wspaniałym, wręcz pomnikowym symbolem tych lat jest życie Anny Walentynowicz, biednej osieroczonej dziewczyny, która wydostaje się z niemal niewolniczej pracy u obcych gdzieś na wschodzie Polski i zdobywa wymarzony zawód spawaczki w Stoczni

Gdańskiej. Historia jej życia, opisana przez dr. Sławomira Cenckiewicza w monumentalnej książce „Anna Solidarność”, wzrusza i skłania do zadumy. Skąd brała się u Niej tak wielka siła czynienia dobra i wyrażania sprzeciwu wobec zła, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Anna Lubczyk, późniejsza Anna Walentynowicz miała ten dar. Dar Boży! To nie była żadna rewolucjonistka. Choć szczęśliwa z odnowy losu dzięki Polsce Ludowej, gotowa ją wspierać – jako działaczka Ligi Kobiet Polskich, przodowniczka pracy socjalistycznej, „Hanka Proletariuszka”, wyróżniania medalami i nagrodami – nie zatraciła siebie. Zachowała naturalną zdolność odróżniania dobra od zła, kłamstwa od prawy. Tak trafiła do Wolnych Związków Zawodowych w Gdańsku, gdzie najpierw dokarmiała i zwyczajnie wspomagała życiowo na co dzień związkowców i nic nie tracąc, bo ucząc się tego wszystkiego, co słyszała o roli opozycji, demokracji, pluralizmie, wolności jednostki, prawie do pracy i prawdziwej naturze komunizmu.

Poznałem Ją osobiście dzięki zaproszeniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Belwederu w dniu Jej 80. urodzin, w ubiegłym roku, 15-go sierpnia. „Musimy jeszcze raz zacząć rewolucję „Solidarności”, – usłyszałem na powitanie. A więc nadal nie była zadowolona z Polski. Nadal czegoś Jej w tej Polsce brakowało. Na pewno nie cytrusów i pomarańczy wypełniających dziś każdy sklep. Odczuwała deficyt prawdy i zwyczajnej ludzkiej uczciwości i solidarności. Kiedy odczytywała strony maszynopisu książki o sobie, której nie miała szczęścia

zobaczyć w druku, (zginęła wraz z 95 osobami na pokładzie rządowego samolotu lecącego do Smoleńska na uroczystości katyńskie), zapłakana powiedziała autorowi: „Tyle zła, tyle zdrady i ludzkiej podłości opisał pan w tej książce. Jak mieliśmy wygrać, skoro tylu wokół nas nam przeszkadzało. Ale dobrze, że pan to wszystko pokazał. I najważniejsze, że nie zrobił pan ze mnie wszystkowiedzącego, jednoosobowego bohatera „Solidarności”, ale ukazał pan wysiłek zbiorowy tysięcy Polaków. Bo „Solidarność” to narodowe powstanie przeciwko komunistom”.

Słowa te brzmią dziś jak narodowy testament, memento, bo „jak mieliśmy wygrać, skoro tylu wokół nas przeszkadzało” i dodajmy, nadal przeszkadza. Anna Walentynowicz zdystansowała się od konsumowania zwycięstwa „Solidarności”, sukcesu budowanego dziś sztucznie, na siłę, przez elity III RP i to za grube pieniądze. Pamiętamy, że wtedy w 1980 roku nie zatrzymała się na zwycięskim strajku w stoczni Gdańskiej, ale przekształciła go, razem z Aliną Pieńkowską, w ogólnonarodowy solidarnościowy strajk powszechny. I ten wspólny strajk polskich robotników nie okazał się tym razem kolejnym zwycięstwem komunistów gwarantujących dla uspokojenia podwyżkę pensji. Dla Anny Walentynowicz był to tylko kolejny etap ku wolnej, sprawiedliwej Polsce.

Gdyby nie poleciała do Smoleńska z prezydentem albo gdyby czując się lepiej, pojechała tam pociągiem, dziś wspierałaby obrońców krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Bo to Jej uporowi

przede wszystkim zawdzięczamy zespolone ze sobą trzy krzyże przed Stoczną Gdańską ku czci pomordowanych w grudniu 1970 roku. Ale o tym akurat, „dziennikarz starszego pokolenia” dowiedział się dzięki historykowi młodego pokolenia, autorowi książki „Anna Solidarność”. Dziękuję, Panie Sławomirze.

Wojciech Reszczyński

Autor jest komentatorem programu III Polskiego Radia

212Nasza Polska 31.08.10